

Tow. Naukow. Plockiego

F 980

Bibliot. Im. Zielińskich

STEFAN ŻEROMSKI

PUSZCZA JODŁOWA

WARSZAWA MCMXXVI KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
NAKŁAD T-WA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE

802

PISMA STEFANA ŻEROMSKIEGO

- ARYMAN MŚCI SIĘ — GODZINA. Wydanie III. 1923.
BIAŁA RĘKAWICZKA. Sztuka w 3-ch aktach z prologiem i epilogiem. 1921.
BICZE Z PIASKU. (Początek Świata Pracy. Organizacja inteligencji zawodowej. Drożyzna i Zamoyszczyzna. Nowa Warszawa). 1925.
DLA MŁODZIEŻY. Książka pierwsza. 1921.
DLA MŁODZIEŻY. Książka druga. 1921.
DUMA O HETMANIE. Wydanie V. 1923.
DZIEJE GRZECHU. Powieść w 2 tomach. Wydanie VI. 1924.
ECHA LEŚNE. Warszawa 1920.
INTER ARMA. Warszawa 1920.
LUDZIE BEZDOMNI. Powieść w 2 tomach. Wydanie V. 1923.
MIĘDZYMORZE. Warszawa 1923.
MOGIŁA. Warszawa. 1923.
OPOWIADANIA. (Doktor Piotr. — Cokolwiek się zdarzy. — Ananke. — Zmierzch. — Złe przecucie. — Po Sedanie. — Zapomnienie. — Pokusa. — Siłaczka. — Oko za oko. — Niedziela). Wydanie V. 1923.
O PRZYSZŁOŚĆ RAPPERSWILU. Kraków 1912.
ORGANIZACJA INTELIGENCYI ZAWODOWEJ. Warszawa 1919.
POCZĄTEK ŚWIATA PRACY. Kraków 1919.
POMYŁKI. Warszawa. 1923.
PONAD ŚNIEG BIELSZYM SIĘ STANĘ. Warszawa. 1920.
POPIOŁY. Powieść z końca XVIII. i początku XIX. w. w 3-ch tomach. Wydanie VI. 1925.
POWIEŚĆ O UDAŁYM WALGIERZU. Wydanie III. 1923.
PROJEKT AKADEMII LITERATURY POLSKIEJ. Wyd. II. Warszawa 1924.
PROMIEŃ. Powieść. Wydanie IV. 1923.
PRZEDWIOŚNIE. Powieść. Warszawa. 1925.
PUSZCZA JODŁOWA. Warszawa 1926.
ROZDZIÓBIA NAS KRUKI, WRONY. Wydanie IV. 1923.
RÓŻA. Dramat niesceniczny. Wydanie IV. 1923.
SEN O SZPADZIE. Kraków. 1914.
SEN O SZPADZIE I SEN O CHLEBIE. Warszawa 1923.
SIŁACZKA. — NA POKŁADZIE. (B. U. L. Nr. 5). 1907.
SŁOWO O BANDOSIE. Wydanie II. 1920.
SNOBIZM I POSTĘP. Warszawa. 1923.
SUŁKOWSKI. Tragedya. Wydanie IV. 1923.
SZYFOWE PRACE. Powieść. Wydanie VI. 1924.
TUROŃ. Dramat w 3-ch aktach. Warszawa. 1923.
UCIEKŁA MI PRZEBIÓRECZKA... Komedia. Wydanie II. Warszawa. 1925.
URODA ŻYCIA. Powieść w 2 tomach. Wydanie III. 1925.
UTWORY POWIEŚCIOWE. (Na pokładzie. — O żołnierzu tułaczku — Tabu. — Cienie. — Kara. — Legenda o bracie leśnym). Wydanie V. 1923.
WALKA Z SZATANEM. I. NAWRACANIE JUDASZA. Powieść. 1921.
WALKA Z SZATANEM. II. ZAMIEĆ Powieść. 1921.
WALKA Z SZATANEM. III. CHARITAS. Powieść. 1921.
WCZORAJ I DZIŚ. Serya Pierwsza. (Tabu. — Ananke. — Doktor Piotr. — Siłaczka. — Kara). 1925.
WCZORAJ I DZIŚ. Serya Druga. (Zmierzch. — Cokolwiek się zdarzy. — Na pokładzie. — O żołnierzu tułaczku). 1925.
WIATR OD MORZA. Wydanie III. Warszawa. 1922.
WIERNA RZEKA. Klechda domowa. Wydanie IV. 1925.
WISŁA. Wydanie II. Warszawa. 1920.
WSZYSTKO I NIC. Wydanie II. Warszawa 1923.
ZMIERZCH. — COKOLWIEK SIĘ ZDARZY. (B. U. L. Nr. 41). 1907.

STEFAN ŻEROMSKI

PUSZCZA JODŁOWA

WARSZAWA MCMXXVI KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
NAKŁAD T-WA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE

W uszach moich trwa szum twój, lesie dzieciństwa i młodości, — choć tyle już lat nie dano mi go słyszeć na jawie! Przebiegam w marzeniu wyniosłe góry — Łysicę, Łysiec, Strawczaną, Bukową, Klonową, Stróżnę, — góry moje domowe — Radostową i Kamień, — oraz wszystkie dalekie siostrzyce. Nie ja to już, człowiek dzisiejszy, wciągam zdrowemi płucami tameczne powietrze, kryształ niewidzialny, niezmierzone, nieskazitelne, przeczyste dobro, — zimne, nieskalane oddechem, zgnilizną, brudem, pyłem, — lecz ktoś inny, kogo już dawno niema, młodzieniec, który niegdyś w mem jestestwie przebywał. Nieraz mi się wydaje, że go wcale nie było, że to poprostu jedna ze zmyślonych figur, które wynajdywać w nicości, tworzyć, kształtować i pokazywać ludziom za pomocą pisaniny było moją manią od dzieciństwa, — że to Rafał, albo inny jaki, bujał niegdy tamoj po górach. Tamten ja, miniony i nieistniejący, z bronią na ramieniu, nachyla się nad burz-

liwą, kipiącą wieczyscie wodą źródła świętego Franciszka i przegląda się w jego czystej powierzchni, czystej, jak lza, ażeby ze swego odbicia czynić wnet przedmiot baśni, bohatera, postać nieistniejącą a najbardziej bliźnią, *quidam* tajemnicze, byt dwunogi, godny wieloaktowego dramatu, albo godny epopei w dziesięciu pieśniach. Tamten siaduje nad brzegiem wartkiego strumienia, co ze źródła świętego Franciszka wybiega, co śmiga wdół i snuje się po kamieniach. Tamten wysłuchał, jaki to puszcza szeroka wydaje głos za wiatrem przypadającym i odchodzącym, a mnie o tem przez całe moje nędzne życie podaje wieść.

Znawcy dziejów ziemi, co jak niedosięte krety bobrują po warstwicach skorupy, latają, niczem ptaki, po lądach i morzach przeddziejów, a skaczą po tysiącleciach chyżo i pewnie, wmawiają we mnie, że zburzyszcze na szczycie Łysicy, osędziałe od mchów, utkane paprocią i kwieciem, że kwarzec, świetlisty od miki i połyskliwy od górskiego kryształu, co w szczycie pasma zalega, — tai w sobie odgnioty wielkookich raków morskich, zagrzęzłych ongi w piachach tego przed wiekami wybrzeża oceanu północy. Tak jest, czy inaczej, — niechże oni zajmują się temi pośmiertnemi raków dziejami. Ja śmierci nienawidzę.

Uwielbiam nowe życie tej krainy, choćby ta jego nowość sięgała pierwszego porostu trawy morskiej na tym raczym cmentarzu. Widzę jeszcze dziecięcemi oczami wielkie raki żywe, stwory czarne o formie dziwacznej, straszącej wyobraźnię dziecięcą, jak suną po jasnym, gliniastem dnie potoku, co z mej góry rodzinnej spada w rozpedach, zakrętach, półkolistych obiegach i nagłych wdół popławach. Soczyste nad nim trawy, kaliny, tarki, wilcze łyko i bujne łodygi, wewnątrz puste, wielkimi liśćmi nakryte, których pień, łyczkiem cienkiem obciągnięty, tak się świetnie nadaje do wciągania w usta lodowatej wody ze źródła, wody, co łupie w zębach. Zarośla, z brzegu na brzeg, przerzucone, splatają się między sobą. Chmiel je obwija, a przetykają leśne maliny. Srokosze w ich gęstwinie kują swe dzwonne pieśni, a zatajona kędyś kukułka bawi się w chowanego z rozbawioną, z rozigraną dziecięcą duszą. Czarne cienie jodeł kołyszą się rytmicznym tanem na wiosennej murawie, bezmiarem kwiatów zasłanej. Wielorakobarwne, nakrapiane i pisane motyle latają z miejsca na miejsce, jakby szukały tego tajnego schowania, gdzie się kukułka ukryła. Dzwonny szmer ponika wrywa się z łożyska, chcąc się do zabawy przyłączyć, lecz żywe jego wody, porodziane przez głązy na liczne strumienie, mu-

szą uciekać, uciekać w dolinę. Migocą tam w słońcu, mienia się, połyskują, błyszczą, — obraz wieczny jedyne prawdziwego szczęścia, istotnej, niepodzielnej i skończonej radości życia. O, potoku, potoku, gdzieś to poniósł, gdzieś to podział tamte wody!...

Zaznajomiłem się był dobrze w ciągu wielu młodości lat z wodami żywymi tej leśnej Nidy, co się z czystych potoków w bujną rzekę rozrasta. Obejmowała mię niegdyś przychylnem, lodowatym ogarnięciem, gdym się w jej czarne głębie ufnie rzucał po twardym, po kamiennym śnie, skoro tylko świt za szczytem Łysicy niebo zarumienił. Nosila mię na łonie swem, jak dobra matka, gdym pływał stojąc, nawznak, na piersiach i na bokach. Wyrzucała mię z wnętrza swego na powierzchnię siłą potężną głębin niezgruntowanej, najeżonej rosochatemi kłodami drzew puszczy, ongi zwalonych, w dno wrosłych, — gdym zbyt długo nurkiem po jej tajnikach chodził. Znałem się wówczas na obyczajach i naturze ryb, na chytrności, mądrości i instynkcie dzikich kaczek, cyranek, bekasów, kurek wodnych, grzywaczy i jastrzębi. Przeszpiegami i chytrością ludzką odpowiadałem na przespiegi i obronne sposoby rogaczy, lisów i zajęcy. Byłem myśliwcem i rybakiem, — z nązwę zresztą bardziej, niż ze skutecznego efektu

łowieckich zabiegów. Byłem bowiem największym, (bo jedynym), na całe świętokrzyskie góry poetą, udającym myśliwca i rybaka. Miałem w sobie lekkość lisa, nogi jelenie i jakgdyby skrzydła bekasa u ramion. Pisałem swe marne wiersze w lasach i wertepach, — w ciągu długich letnich deszczów pod cieniem olchy obwisłej w nadnidziańskim smugu, — pod daszkiem brogu na wilkowskim ugorze, — oraz w leśnych kapliczkach, obok klasztoru świętej Katarzyny.

Układałem dramaty, już wówczas niesce-niczne i chybione, z powstańczych legend tego zapadłego kraju, gdzie jeszcze był nie wytchnął ślad stopy skrwawionej pokonanych bojowników, — gdzie jeszcze ściany przydrożnej austeryi czarne były od kul i podziurawione, jak rzeszoto, a każdy człowiek dojrzały, co krwawe czasy przeżył, tylko o nich mówił, kładł je w moje uszy, jak do składu, — a czasem tym dzielił na części swe życie przed i popowstaniowe. Układałem nieskończone i, oczywiście, źle zbudowane powieści, o chłopie Marku z Krajna, co w powstaniu własną swoją, chłopską partją dowodził i wyciągałem epos o przeklętym i wyklętym zdrajcy z tejże wsi, — Janicu, — co za wydanie spisku Ściegienego, — chwały naszych czarnych lasów, — order, pięć kolonij w nagrodę otrzymał, a sam rozpił

się, na dziada zeszedł i w przydrożnym sypiał rowie.

Widzę cię we wspomnieniu, świątynko mała, dawnego eremity domku, kołysko moich, — żal się Boże! — poezyj...

Otoczona zewszachstron płotem z żerdzi jodłowych, stoisz pośrodku łąki pachnącej. Drzwi twe dawno spróchniały, zamek ich zardzewiał i już nie spaja połowic. Wiatr, nieznoszący tajemnicy i zamknięcia, rozwalił je we dwie strony, przyparł do ścian i raz na zawsze otworzył. Zgniły i zapadły się drzwi w podłodze, prowadzące do sklepu — pod ziemią. Oglądaj każdy, ktoś ciekaw co tam jest w głębi! Leżą na dnie wyschłe, suche, w zbutwiałej trumnie zwłoki niewiadomego polskiego rycerza. Jest to może tensam rycerz co, na żelaznej pięści podparty, a przyłbicę zamczystą mając u wezgłowia, śpi na marmurowym pomniku w starym klasztorным kościele świętej Katarzyny. Tensam to może, którego życie, łacińskim wystawione opisem, siostry zakonne, w chwalebnej gorliwości o czystość świątyni, rok rocznie na godne święta malują wapnem od góry do dołu, tak porządnie i skutecznie, iż z peanu sławy rycerskiej widać jedynie liczne, lecz nieczytelne wgłębienia, a i sam rycerz wraz ze swą epopeją w wapienną bryłę się zmienił i stał nie-

jako, podwaliną niemej ściany. W kapliczce leśnej można pewno i dziś jeszcze czytać napisy po ścianach ostatni raz bielonych, — na szczęście! — przed powstaniem. Jeden z nich, wyryty jakimś ostrzem, głosił słowo mało zrozumiałe: — «*Szczyt moich cierpień zrównał się z tą górą 1863*». Nie było imienia i nie było nazwiska. To jakby ów rok wszystek — 1863 — ostrzem strzaskanego pałaza, czy złamanego bagnetą na niemym murze, dla nikogo, te słowa wypisał. Obok tego oświadczenia, które się stało osnową pewnej krwawej tragedyi, co całkowity brulion za całe czterdzieści groszy wypełniła sobą od deski do deski, — widniały wydrapane na murze nazwiska: «Stefan Żeromski, uczeń klasy drugiej» — a niżej tuż pod tamtem: «Jan Strożecki, uczeń klasy drugiej». O ile ów, z roku 1863, zanadto pilnie swe nazwisko zataił, o tyle my dwaj, uczniowie klasy, drugiej, czyniliśmy wówczas dla uwiecznienia naszych, co się tylko dało, co było w naszej mocy. Jan Strożecki i później czynił, co się tylko dało, co było w jego mocy: w najsroższy Sybir, na wytrwaną z moskiewskim caratem chodził bez trwogi, a potem, po latach walki, we Francyi, godnie, jak przystało na towarzysza naszej ławy w kieleckiej szkole, zginął, ratując tonącego człowieka. Ale — o Janku! — jeśli siostry zakonne

na któreś godne święta odmalują kapliczkę bożą u podnóża Łysicy, na leśnym skraju, i twoje jedyne epitaphium i ślad mej glori, największego poety między Łysicą i Radostową górą, wniwecz pójdzie, w nieme i martwe wapno się zamieni, tak samo, jako chwała rycerza w dole. Tylko konwalie i poziomki nie zapomną o wolnych duszach rycerzy. Dookoła starej kaplicy, w trawach bujnych woniejąc, pchać się będą, jak zawsze na wiosnę, ku drzwiom roztworzonym, przechylać owoc rubinowy i kwiaty białe poza próg spróchniały, jakby w zbożnym zamiarze, by bojownikom, zapomnianym przez ludzi, oddać zapach swój, tymian pozgonny.

Zdobywanie przestrzeni za dni młodości za pośrednictwem mocy mięśniowej, która tak bez wysiłku dawała sobie radę z odległościami, wycisnęło swój obraz niezatarty na pojmowaniu, a raczej na uprzytomnieniu sobie wszelkich wymiarów. Miarą przestrzeni była i jest dla mnie odległość różnych miejsc w tamtych stronach. Dwie wiorsty — to polna droga z Ciekot do Wilkowa, trzy wiorsty — to gościniec z Krajna do Górna, trzy mile — to linia prosta z Kielc do świętej Katarzyny. Każda trudna, duża i ciężka praca jakiegokolwiek natury, literacka, biblioteczna, czy inna, obrazowo i porównawczo mierzy się w mej wyobraźni, w mej

sile mięśniowej i nerwowej na wysokość góry Radostowej. Jestem oto u jej podnóża, w Leszczytach, w Małocicach, w Bęczkowie, — jestem na pierwszym garbie, na drugim, na trzecim, — jestem niedaleko wierzchołka, — jestem na szczyciel. Widzę już mój kres i mój cel: rodzinny dom! Schodzę z rozmachem wdół. Otom już w granicy naszych pól. Widzę drzwi, przekraczam próg... Upadam po trudzie na cichy i radosny spoczynek...

Jak ja, taksamo wszyscy dawni ludzie, którzy niegdyś wdzierali się na te góry i przemierzali wielkie lasy, poili się tymsamym jedlanym szumem, tensam zapach wciągali nozdrzami i temsamem czystem powietrzem napełniali płuca. Pierwszy, co wtargnął z oszczepem-li, czy z siekierą bronzową w dłoni, z południa, od strony Wiślan, czy z północy, od strony Mazowszan, przyszedł przed czasami, które ima i swoimi sposoby utrwała dla potomnych plotka człowieka, — drzał pewnie w sobie, patrząc struchlałemi oczyma w puszcę Łysicy. Widział bowiem wokół siebie drzewa srogie, zwartym ostępem stojące, wyniosłe, borem niedosięglym dla szybkołotnego spojrzenia wyległe w dal milami. Lękliwa cześć napełniała jego duszę, gdy mierzył nieznane i niewidziane, grube, obłe, potężne pnie,

podarte od przepęknięć i okapane obarami żywicy, na sto łokci wybiegające pod niebo. Krzywymi pazurami korzeni wszczepione między omszałe, sterczące i nawalone skrzyżale, między rumowie, które zwietrzały kwarzec górski wytwarza, — splaszczonemi koronami chwiejące się za wiatrem tam i sam, — obwieszane ciemnozielonymi wieńcami igieł ulistwienia, — obarczone licznymi ramionami spławów potężnych, — pachnące balsamicznym olejem, w nasionach zawartym — śpiewały przed nim własny poszum swój, puszczańskie wzdychanie, niemowny śpiew, który wszystko ludzkie zna i wspomina. Z ciemnej lasu gęstwiny szedł na jego duszę, nastawał i napastował głos dawien-dawny, nieodmienny, głęboki — wysoki, ostrzeżenie i napomnienie, śmiech i płacz, duma, zamierająca w pustce głuchej. A skoro zamierała nuta lasowa, wyrывało się z puszczy wycie wilka, albo hukanie pohutliwe puhacza i przejmowało serce człowieka straszną bojaźnią. Przychodzień ów tajnią czucia korzył się przed niemymi wielkodrzewami. Chciał zrozumieć wygłos ich, jakoby zagmatwany i zamazany bełkot niemowy, — ażeby w nim znaleźć odpowiedź na niepewność, tajemniczość i kruchość żywota. Lecz w brzmieniu tem, podnosząc się z milczenia i odchodząc w milczenie, wiała nań tylko wia-

domość o śmierci nagłej, a niespodziewanej. To też w trwodze swej wierzył, że w boru tym tai się, kryje i oddycha wiatrem śpiewnym duch wszystkomogący, Świst-Poświst, bożyszczce śmierci. Przyjacielem mi był za dni młodości tamten pierwszy przychodzień. Lubilem marzyć, jako się skrada temisamemi, co ja, zaroślami, wądołami, w których tesame biegną potoki, łaskawością pagórków i nizina mokrych smugów, ażeby polować na bobry brunatne, co na brzegach naszej czarnej rzeki kuliste swe chaty, żeromiona, budowały, — na puszyste, kasztanowate, wysmukłe i gibkie leśne kuny, których cenne skórki były rodzajem pieniądza, — dziesięć na grzywnę, — środkiem wymiennym, — na niedźwiedzia i wilka, na jelenia i srogiego dzika, co dziesiątkowi kundłów dawał radę, gdy go stanowiły w oparzelisku, — na chytrego lisa, na krępego leniwca, czyściocha i ospalca borsuka i na sępa, siadującego w widłach największego drzewa w Łysicy. Lubilem marzyć, jak z kopami skór kunich na ramieniu przemyka się leśnymi ścieżkami, które sam jeden zna, ku Tarżkowi u brzegu rzeczki Świśliny, na skraju lasów, gdzie już do puszczy docierają zdawna karczowane, jednolite pola sandomierskiej urodzajnej gliny. Tam to na targowisku starodawnem, jak pamięć ludzka zasięgnie, myśliwce



i kłusownicy, ludzie leśni, ludzie dzicy, ludzie waleczni spotykali się z ludźmi z polan i równin polskich, z pól i niw, którzy siali żytnie i pszenne ziarno, mieli mąkę i umieli szczepić na dziczkach owoc smakowity. Wzamian za skóry kunie, borsucze i niedźwiedzie, za wilczury i bobrowe kołnierze dostawali kowane żelazo i rzemień wyprawny, mąkę i sól, słodki owoc i wypalone naczynie. Tam także słuchali wieści o innych światach, niż świat czarny. Słuchali wieści o mężach dziwnych, co w Żmigrodzie wznoszą kamienną bożnicę, wodą naród pracowity polewają i uczą miękkich zabobonów. Ludzie puszczy chętnie opuszczali targowisko na Tarzku i szli nazad ku góróm. Witali las radośnie, gdy się z góry najwyższej spadem nagłym osuwa w zimnej doliny otchlisko, niezem chmura gradowa. A gdy po jego błękitnych przegubach we wnętrzu ciemnem, dla oczu niedosięgiem, obłok biały piął się ku szczytowi wzniosłemu, radowało się bezsłownie serce ich, — serce nasze, zawždy tosamo serce ludzi puszczańskich.

Kędyś daleko, za Radostową i Kamieniem w stronie południa było inne targowisko, na wzgórzach, gdzie gródek polskiego króla ludzie wojenni zbudowali. Tam to, w podgrodziu, goście z obcej strony, kupcy przebiegli, mieli na sprze-

daż za skóry kunie broń sieczystą i zmyślne naczynia z żelaza. Z tegoż gródka, na Kielcach wzniesionego, wyszedł węgierski książę Emeryk i poniósł w ręku święty krzyż na Łysiec, gdzie już król polski, imieniem Mieczysław, a może Bolesław, przezwiskiem Chrobry, a może Krzywousty, — zbudował był kościół niewysoki, grubą sztuką dawną grecką z kamienia postawiony. Tenże król sprowadził dwunastu braci benedyktynów, pochodzeniem i językiem Włochów z góry Kassynu i w klasztorze na Łyścu osadził. Długo szedł korzenistą i piaszczystą drogą książę węgierski Emeryk, w towarzystwie biskupa krakowskiego Lamberta, niosąc ze czcią pięć ułamków Krzyża Świętego, wprawionych w złoty krzyż o pięciu ramionach. Srogi lud leśny nie ważył się napastować tych bezbronnych pątników. Ciążyła już nad jego samowolą mocna ręka królewska, a ślady władzy tej zostały w nazwach gór: — góra Królewska, góra Książęca. Dopiero teraz, po ośmiu wiekach, podłość zbójów wróciła do swej samowoli. Gdy kule wojny zburzyły wieżę kościoła na Świętym Krzyżu, ręka złodzieja wylała święte schronienie i zdarła złote blachy ze szczątków Krzyża, a samo święte drzewo cisnęła kędyś między brud ziemi.

Nadszedł był czas, iż książę, panujący w Kra-

kwie, darował łańcuch gór i błamy lasów krakowskiej biskupiej stolicy. Kasztelanie pobrzeżne w Kielcach i w Tarzku stały się ostojami i siedzibami władzy nowych panów tego przestworu. Powstał w Tarzku, — z czasem Tarczkiem przewanym, — dworzec myśliwski biskupi. Tam władcy, którzy niejednokrotnie spychali z tronu królów, zażywali puszczańskich wywczasów. Z gminu nieraz wyrosli, a dzięki cnotom, wiedzy, ogładzie, przebiegłości i znanstwu rzeczy ziemskich, w auzońskich podpatrzonemu krajach, na tak wyniosłe podniesieni siedzisko, stali się dobroczyńcami leśnej ziemi. Tworzyli nowe miasta, jak Kielce i Bodzentyń, — wśród dzicy nietrzebionej dźwigali podniebne kolegiaty, wznosili zamki, wzorem włoskim zdobione, — jakoby wstęgi wysnuwali z potężnych dłoni mury obronne, — napełniali miasta rzeszami sztukmistrzów. Z górnego i środkowego Ponidzia sprowadzali osadników z siekierą i sochą do trzebienia i karczowania skrajów lasu w pobliżu grodu kieleckiego. Dawali wolę ludowi rolnemu w Woli Kopcowej, Radlinie, Górnicy, Leszczynach, Woli Jachowej, Napieńkowie. Trzon wyższy długo jeszcze trwał postaremu. Kiedyś dopiero rolnicy podejść bliżej, wyrąbią polany, gdzie bielą się Bieliny, ciągną się Porąbki i wgryzą się w samą Łysicę i Krajno, wiszące na skłonie

wysokim. Jak niegdyś niewyciężeni królowie i potężni krakowscy książęta, tak później polowali tutaj rycerscy biskupi — Lambert, Gedko, Prandota, Bodzanta, Floryan Jelitczyk z Mokrza, Paweł z Przemańkowa, Zbigniew z Oleśnicy, Gamrat, Zadzik i inni. Otoczeni zdrowym, wyniosłym, zahartowanym w srogim klimacie, potężnym fizycznie, dzielnym i walecznym narodem górskim gminem szczwaczów, przebiegłych i czujnych śląkowników zwierza, chytrych, jakoby cuchem psim obdarzonych kłusowników, wśród chartów, ogarów, kundlów na dziki, jamników na lisy i borsuki, oraz wszelakiej innej psiarni, roznoszącej po szczytach i dolinach echa wrzaskliwe, — przebiegali puszcze, odziani w pancerz, z oszczepem i łukiem w dłoni. Walczyli pierś w pierś z włochatym niedźwiedziem, rozjuszonym wilkiem, i srogim odyńcem, który, ciapiąc groźnie w stanowisku, szarpał kielcami psy i martwe miotał na strony.

Tam to spoczywał onego dnia, jak głosiła jedna z powieści, potężny Bodzanta na pochyłości matki-góry. Miękki nasuwień, szatę tkaną, wzorzystą miał powierzch napierśnych blach. Zsiadł z konia, runął na ziemię. Skinieniem dłoni odegnał zgraję pochlebców, wesołków, błaznów i wszelakich służalców. Precz kazał zabrać psy na smy-

cze. Z rękoma założonemi pod głową, z nogami w skórzniach po pachwiny rozwalonemi szeroko, z oczyma zatopionemi w niebie, gdzie białe chmurki sunęły ponad przyplaszczonemi głowicami, leżał nawznak. Słuchał, jak jedle niezmierne pieśń mu wywodzą jedyną, której słuchać warto, albowiem nigdy nie wygasa i na sile nie traci, — pieśń o przepotędze i zuchwałych żądzach młodości i o zgnilej rozpaczycy starości, — o pasyach i furyach ducha rozszalałego. Wołały go ku modlitwie, lecącej w niebo, gdyż przesmutnem wzdychaniem swoim trwogę poznania wszechrzeczy rzuciły w jego sumienie. Wspominały mu lata minione — odpłynione, których nie wróci nikt, nigdy. Wspominały mu tajnice grzechów, w których był skowany, jako kłodnik w ciemnicy. Nikt o nich nie wiedział nic, jeno te drzewa. Pobudzały go, ponęcały i powabiały ku czemuś in szemu, nieznanemu. Przyciskał do serca swego pienie ich biskup Bodzanta, poprzysięgając je najmocniejszym zaklęciem, ażeby jeszcze śpiewały...

W ten to leśny kraj, jeszcze bezludny i niezabudowany, dziedzinę biskupich łowów, gdzie synowie boru snuli się na wzór zwierząt, tropiąc i zabijając zwierzęta, oraz śmiałków, którzyby z jakimkolwiek towarem ośmielili się ciągnąć korzenistym, piaszczystym i mokrym szlakiem z pod-

grodzia w Kielcach ku podgrodziu Bodzantyna, — przybyli jednak nieustraszeni ludzie i między świętokrzyskimi zbójcami, właśnie obok starej drogi na dobre zasiedli. Byli to anachoreci, benedyktyńscy eremici. Pobudowali sobie małe domki z pniów jodłowych, które wicher z ziemi wyrwał i na trawę obalił. Wyszukiwali miejsca przy wodzie, — ten ci przy źródle burzliwem i kipiącem wieczyście, tamten przy strumieniu, co migocę w słońcu, mieni się, połyskuje i błyszczy, a trzeci jeszcze niżej, nad potokiem zarośniętym tarniną kalinami i gąszczem leśnych malin, gdzie sroksze kują swe dzwonne pieśni, a zatajona kędyś kukulka zabawia się w chowanego. Domki ich do dnia dzisiejszego przetrwały, zamienione na przydrożne kapliczki, gdy eremitów nie stało, pamięć o nich wygasła, i gdy już nikt nie wie, nie pamięta, nie rozumie, czemu to tutaj właśnie stoją te puste chatki boże. Owocześni przybysze nie lękali się niczyjej napaści, gdyż nie posiadali nic zgoła, coby się dało zrabować. Pustelnicy ci prowadzili życie ostre, wstrzymując się po lat kilka, w największe nawet święta od pokarmów mięsnych, niełatwo przyjmując, i to czasem tylko, — jałmużnę. Służyli ludziom, ciągnącym temi stromami poprzez Kamień Kraiński, czy brzegiem rzeki, — za przewodników i udzielali noclegu

zabłąkanym we wielkich lasach. Pierwsi też pewnie rozmawiali z myśliwcami i osadnikami o tajemnicy bytu i śmierci. Gdy pierwszy anachoreta, pono Włoch rodem, przybył w tę puszcę ciemnozieloną, szum jedlany wspominał mu pewnie niebo południa, widok kampanii neapolitańskiej, błękitne wyspy w błękitnym morzu, widzialne jako skupienia mgły z góry Cassina, — albo zachylenie ziemskie, najwdzięczniejsze na ziemi, gdzie morze w ład się wlewa, obok Santa Margheritha Ligure, — ul mnichów. Wspominał mu srebrzystość drzewa oliwy, spływającą ku szkarłatom róż w dole, róż, co wydają ze siebie *Santa Rosa Mistica*, — ku drzewom czereśni i migdału, różowiejącym i bielejącym za dni marcowych. Posępnicą i żal ogarniały duszę człowieka z tamtych kwiatnych i wonnych krain, a dziki urok lasu północy obcy mu był i wrogi. Lecz siła ducha i niezłomna wola kazała w umartwieniu i modlitwie szukać lekarstwa na posępicę i żal. Nad chatą ciemnozieloną puszcza szatański zawodziła świst-poświst i wypędzała stela. To też, gdy nie było już dlań powrotu, przychodzić uciekał wgórę, wyżej, coraz wyżej ponad żądze cielesne, ponad naturę ludzką, ponad naturę anielską, do wyciągniętych objęć Człowieka-Boga.

Być może, iż jeden z tych to anachoretów, co

polskiej był krwi i mowy, a szedł z rodu ludzi dostojnych, mówił do zgromadzenia ludzkiego zrozumiałym polskim językiem owo kazanie o świętej Katarzynie, które jest najdawniejszym zabytkiem pisanym tej starej mowy. Istniał-li już wtedy kościółek ku czci tej świętej, wzniesiony między eremami? Darowany najprzód zakonowi bernardynów, a później zakonowi sióstr bernardynek, przetrwał stulecia. Siostry zakonne nauczyły lud okolicznych wsi czytać i pisać, robót ręcznych i rzemiosł. Zasadziły za klasztorem swym ogród ozdobny, gdzie lilie najcudowniejsze na ziemi zakwitają w czerwcowe niedziele, ażeby zdobić ołtarz wielkiej męczennicy Katarzyny, — i gdzie wychylały się ponad mur kwitnące drzewa jabłoni. Potok, w łożysko ujęty, ze szmerem przelewał swe wody wskrósł ogrodu, a wielki, ciemny las trzymał w swem łonie ten rozkwitły wirydarz.

Lecz stare bóstwa domowe, leśne i polne nie pomarły. Strzygi i zmory, kostusie i morzyska siedzą u progów, w węglach i na poddaszach. Zły hasa drogami, czatuje na krzyżowych i wałęsa się wokoło domostw. Mór w złe czasy wlecze się kolejami dróg, choć mu je zagradzają osinowe krzyże. Wiara nie do wytrzebienia, głucha, ciemnonocna, leśna, swoja, skrycie ciągnie się wsiami, koleniami, co teraz wdarły się aż pod szczyt Radosto-

wej i na samą przełęcz Kamienia, co rozsiadły się, jak Klonów, lub Psary, na wyrąbanych polanach boru. Grasują wciąż jeszcze czarownice, cioty i widmy latają na szczyt Łysicy po tajemnicze zioła, rzucają urok i sprowadzają nieszczęście. Odczyniają wszelkie choroby i uroki nieomylni, ro-dowici wróże, lecząc starymi sposoby,—zamawianiem według formuł dawnych, niezrozumiałych, na podstawie splotów włosów, kawałków odzieży z wisielca, widełek nietoperza, mchu z krzyża na rozstajnej drodze, wody wrzącej, węgla lub chleba.

Przyrosły czary nowe. Gdy stary zakonnik kapelan u świętej Katarzyny, w czasie podniesienia dźwigał na wysokość oczu ciężką złotą monstrancyę i wśród błękitnych dymów kadzidła patrzył w ciżbę, ciasno w kościółku stłoczoną,—chowali się jeden za drugiego i kryli twarze w dłoniach starzy «chłopcy» świętokrzyskich wiosek, co ta na sumieniu mieli przecie niejedno. Mówili bowiem szeptem najstarsi, że wtedy stary brat Kazimierz przez Przenajświętszy Sakrament widzi każdą zbrodnię ludzką, jak na dłoni. Strach wielkooki szedł między chłopcy.

A któż ciebie wypowie, co moc twoją uprzytomni, pieśni potęgo — «Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny — zmiłuj się nad nami!» — gdy ją ze siebie wyrzucali tłumem, gromadą, wsiami,

włóconemi w odwieczny, grubomury, niski, mały kościół świętej Katarzyny! Prośli się po chłopsku, nisko, u kolan Boga — «Od powietrza, głodu ognia i wojny — Zachowaj nas, Paniel! — My grzeszni Ciebie Boga prosimy...» Nie wyprośli się od wojny! Przyszła sroga i straszna. Sroższa i czerzykróć dłuższa, niż samo Powstanie. Jakoby gradowa burza przelatywała z kołatem i łoskotem ponad górami wysokimi i nad niskością chałup. Przychodziły z siekierami podłe Austryaki, żeby ciąć głuche lasy, których nawet bury Moskal nie ważył się tykać. Lecz obroniła się dzika strona swemi wyrwami, kamienistością dróg, wąwoziki górkimi z pieca na łeb, po których nawałnica swego czasu wody puszcza. Nie dosięgły Łysicy! Przyszła znowu na swe miejsce Polska. Nie zamienili Moskale klasztoru świętej Katarzyny na koszary konnicy, jako to było w ich planie, i nie przyłożył Austryak siekiery do korzenia lasów. Stoi oto wciąż dom boży. Widać zewszec stron białą jego wieżę w dolinie, fiołkowej od lasów, co zdala i zbliśka ciągną ku niemu wielkimi pasmami. Jest jakoby zwornikiem, w jedność ujmującym wielorakie pustkowie. Oko przybiega z obszarów i spoczywa na jego białym kształcie, a, wyrzeźbiony w żrenicy, zachowuje w sercu na zawsze.

Żyj wiecznie, świątńco, ogrodzie lilij, serce lasów! Przeminięły nad tobą czasy złe, złane ludzką krwią. Ciągną inne, inne. Lecz któż może wiedzieć, czy z plemienia ludzi, gdzie wszystko jest zmienne i niewiadome, nie wyjdą znowu drwale z siekierami, ażeby ściąć do korzenia macierz jodłową na podstawie nowego prawa, w interesie jakiegoś handlu, lub czyjegoś niezbędego zysku. Jakiebądź byłoby prawo, czyjekolwiekby było, do tych przyszłych barbarzyńców, poprzez wszystkie czasy wołam z krzykiem: — nie pozwalam! Puszcza królewska, książęca, biskupia, świętokrzyska, chłopska ma zostać na wieki wieków, jako las nietykalny, siedlisko bożyszcz starych, po którym święty jeleni chodzi, — jako ucieczka anachoretów, wielki oddech ziemi i pieśń wieczności! Puszcza jest niczyja, nie moja, ani twoja, ani nasza, jeno boża, święta!

F. 980

